Nr. 1 (1460). Warszawa, 2 Stycznia 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

OD REDAKCJI.

*Obecny numer „*PRAWDY*" rozpoczynający dwudziesty dziewiąty rocznik naszego pisma, wychodzi w dogodniejszym formacie, przy równoczesnym zwiększeniu ilości tekstu, gdyż dajemy obecnie 16 kolumn druku zamiast dawniejszych 12. Jako dodatek książkowy otrzymają nasi czytelnicy dzieło Karola Gide'a*

Rozwój instytucji społecznych na początku XX stulecia

w przekładzie polskim Zofji Kosiewicz i J. Dmochowskiego.

W odcinku rozpoczynamy z dniem dzisiejszym druk szóstej części znakomitego utworu Al. Świętochowskiego

p. t. **Duchy.**

LIBERUM VETO ukazywać się będzie systematycznie, poczynając od 15 b. m.

Pozyskawszy współpracownictwo nowych sił literackich i publicystycznych, liczymy na stałe poparcie naszych dotychczasowych przyjaciół i czytelników.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wymowne milczenie.

Dawno oczekiwany i zapowiadany wielki dzień w Dumie, dzień, w którym minister Izwolski zdawał wobec przedstawicieli narodu sprawę z polityki zagranicznej — na obraz i podobieństwo prawdziwie konstytucyjnych ministrów, — przeszedł bez szczególnego wrażenia. Prasa zagraniczna znalazła w mowie mniej więcej to, czego się spodziewała, to jest zręczne omówienia lub niedomówienia rzeczy dość dobrze znanych. O tym, że Rosja nie chce i nie może siłą poprzeć protestu przeciw aneksji Bośni i Hercegowiny,—wiedzieli wszyscy. Wiedzieli również, że umowa Reichsztadzka osłabia jej stanowisko, krępując ją w proteście z punktu widzenia prawnego, oraz że żądanie rewizji innych punktów traktatu berlińskiego, to jest kompensata za jego naruszenie przez Austrję, będzie kulminacyjnym punktem akcji rosyjskiej. Stereotypowe zapewnienia o porozumieniu z pewnymi mocarstwami, bynajmniej nie psującym stosunków z innymi, jako dające się żywcem przepisywać z jednej mowy dyplomatycznej do drugiej, bez różnicy miejsca, czasu, kraju i osobistości mówiącego, nie odkryły również żadnych nowych horyzontów. Lekki ukłon w stronę neoslawizmu, życzliwe spojrzenie na Młodą Turcję i ligę państw bałkańskich, zapewnienie o najlepszych intencjach względem Rosji i tym po-

dobne aktualne zwroty krasomówcze — łatwo można było przewidzieć z góry.

W dyskusji, jaka się wywiązała po mowie ministra, zarówno zresztą jak w mowie samej, istotnie głębokie, znamienne znaczenie posiadały tylko słowa wypowiedziane.

Milczenie czasem bywa wymowniejsze, niż najwspanialsze oracje, ale często mówi ono rzeczy gorzkie, bolesne. Często i ono zapada ciężkim ołowiem odpowiedzialności na losy i sumienia jednostek, ludów, czy klas społecznych, i właśnie takim ciężarem ołowiu, a nie skarbcem złota, było milczenie w trzeciej Dumie w dzień mowy Izwolskiego. Przedewszystkim uderzającym było, a powiedzmy — pamiętnym będzie — milczenie Koła polskiego.

Wierni swemu charakterowi „chodatajów po diełam", wyzbywszy się niewygodnej roli „przedstawicieli narodu", która jest „nad ich siły", nie usunęli się nasi posłowie od poufnej konferencji przywódców stronnictw z ministrem spraw zagranicznych. Tam zaś, zapewne załatwiwszy swoje „dieło" — czuli się już zwolnieni od wszelkich innych obowiązków prócz, naturalnie, obowiązku głosowania za formułą większości, gdy chodziło o przejście do porządku dziennego.

Gdyby byli przedstawicielami narodu, mieliby bardzo wiele do powiedzenia i to właśnie takich rzeczy, których żadna inna frakcja bez ich inicjatywy mówić nie była upoważnioną, a które musiałyby wywołać opozycję i ożywioną dyskusję. Koło z zasady jednak nie wnosi kwestji spornych, nie naraża się na opozycję ze strony większości, unikając „donkiszoterji", którąby jego zdaniem — okryła je śmiesznością — i oto, dlaczego rzeczy przemilczane przez Koło nie zostały powiedziane przez nikogo, dlaczego dyskusja o polityce zagranicznej była martwą i jałową, jak nieomal wszystkie inne, i dlaczego brzmiała tego dnia w izbie prawodawczej nuta nieszczerości, zupełnie naturalna u dyplomatów, lecz całkiem niewłaściwa w ciałach przedstawicielskich. Zdaje się jakoby w ów dzień wzniósł się przed wybrańcami rosyjskiego narodu wielki ciemny mur, który każdy ostrożnie omijał, udając równocześnie, że go nie widzi. Tym murem była sprawa polska.

Jasną było chyba rzeczą dla każdego, że niemniej niż umowa reichsztadzka, niemniej niż osłabienie militarne i obawa wojny, krępuje Rosję w jej polityce zagranicznej ta odwieczna, nierozwiązana a zaogniona sprawa, która nie pozwala jej na konsekwentne występowanie we wdzięcznej roli opiekunki Słowiańszczyzny. Dziś rola ta jest jej wprost narzucona z jednej strony — przez pobratymców z nad Driny i Dunaju, z drugiej—przez Anglję, która chętnie podzieliłaby się z Rosją piękną misją obrońcy wolności i sprawiedliwości na półwyspie bałkańskim, zagrożonym przez austryjacko-niemiecką zachłanność, tak jak chętnie dzielić się chciała misją obrońcy konstytucyjnych swobód w Teheranie i Tabrysie.

Ażeby jednak mieć wolną rękę, krok pewny, wzrok niezmącony, choćby przy zasadniczym tylko stawianiu takich kwestji, jak prawo anektowanego ludu do autonomicznych swobód, trzeba móc się wykazać z poszanowania tej zasady w zakresie własnej polityki wewnętrznej, móc się powołać jak Anglja, na swe kolonje, na ludy, które się już swobodami podobnymi obdarzyło i pozyskało w nich moralnych sprzymierzeńców. Aby znów wobec Słowian bałkańskich utrzymać się w charakterze starszego brata opiekuna, trzebaby dowody rodzinnej harmonji i braterskiego współżycia mieć blisko pod ręką. Samo wymówienie owego decydującego wyrazu „autonomja", przedstawiało wielką i — jak się okazuje — nieprzezwyciężoną trudność w tej trzeciej Dumie, w której jest on tak starannie omijany przez tych nawet, którzy w nim muszą widzieć rozwiązanie swego najbliższego, najżywotniejszego interesu.

Pytanie, czego można żądać na międzynarodowej konferencji dla anektowanych krajów, jeżeli się dla

---

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

VI. BURZA.

OBRAZ I.

Widok 1.

Długa, podpornymi słupami poprzecznie podzielona piwnica zrujnowanego klasztoru, przerabianego na fabrykę, służyła za miejsce noclegowe ceglarzom, pracującym przy budowie. W jej stęchłym powietrzu wisiały stare wyziewy wódczane, przyczepione do wilgotnych ścian, jak niewidzialna pajęczyna. W tylnej połowie lochu, na grząskiej, rozdeptanej ziemi leżały dwa rzędy słomianych pościołów, a z haka, wbitego pośrodku sklepienia, spadał powróz z zadzierzgniętą pętlą. Kopcąca lampka wycinała w dusznej ciemności małą tarczę światła, które zwartym wieńcem obsiadł krąg mężczyzn i kobiet, wpatrzonych i wsłuchanych w młodą kobietę, czytającą miękim i dźwięcznym głosem. Ich twarze, zmęczone znojem, zakurzone pyłem ceglanym i opryskane plamami wapna tężały w ciekawości lub łamały się w zachwycie. Ona wyglądała jak przebrany w ubóstwo anioł, który przybył na ziemię i opowiada biednym o szczęściu, oczekującym ich w niebie. Linje jej bujnej postaci, nigdzie ostro nie złamane, zginały się urokiem i wiązały harmonją. Czarne włosy ujęła w żółtą, ku tyłowi głowy zsuniętą, chustkę. Jej twarz miała białość lilji, lekko zabarwioną siostrzanymi pocałunkami karminowych warg róży; niebieskie oczy rozdawały wokoło niewinną łagodność, a drobne usta pieściły każde wymawiane słowo. Widać było, że ona dla tych ludzi jest bardzo dobrą i bardzo drogą.

Orla „Silon, stanąwszy przed sędzią, rzekł: Dlaczego mnie pytasz? Czy ode mnie chcesz się dowiedzieć o mojej winie? Jeżeli śmiesz mnie sądzić,

nich nie zażąda autonomji? Przed czym Rosja bronić je tam zamierza, jeśli ten postulat, już tak silnie postawiony i żywo popierany w parlamencie wiedeńskim, przez przedstawicieli anektującego kraju, ma być przemilczany przez obrońcę anektowanych? Jeżeli zaś współczucie dla uciśnionych przez Austrję Słowian ma podyktować Rosji jedynie żądanie odpowiednich kompensat dla siebie samej, jakżeż tę dziwną opiekę familijną przyjmą i ocenią „młodsi bracia” z Bałkańskiego półwyspu?

Czy nie zbudzi się w nich podejrzenie, że sentyment braterski grał tu tylko rolę środka pomocniczego dla śrubowania ceny ustępstw? Obecność Polaków w Izbie tym więcej komplikowała sytuację, że ich położenie w obrębie Austro-węgierskiej monarchji, przedstawianej jako groźny wróg Słowiańszczyzny, jest notorycznie znacznie lepsze niż pod skrzydłami opiekunki uciśnionych Słowian, i że żądając autonomji dla Bośni i Hercogowiny, Rosja mogłaby się spotkać z wzajemnym żądaniem autonomji dla Królestwa Polskiego, choćby takiej, jaką posiada Galicja.

Wszystkie te zestawienia i zapytania narzucały się same przez się świadomości wszystkich uczestników dyskusji, wprost ciążyły nad umysłami i musiały dławić głos w gardle mówców. Być może — choć to wielce wątpliwe — że zostały one sformułowane na owej tajemniczej poufnej konferencji, w której uczestniczył przywódca Koła polskiego, i że tam przyjęto zobowiązanie zamilczenia w pełnej Izbie słów, jakich domagać się musi od swych przedstawicieli opinja społeczeństwa, z którą oni postanowili się nie liczyć.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że jasne postawienie kwestji przez Koło Polskie, że żądanie rzeczowych dowodów braterskiej solidarności dla Słowian z nad Wisły i równouprawnienia ich ze Słowianami z nad Driny i Dunaju — byłoby rozpętało w Dumie całą burzę i odbiło się donośnym echem w zagranicznej prasie. Przypuszczalnie poseł Puryszkiewicz byłby się uciekł do znanego swego krasomówczego efektu — gwizdawki, że umiarkowana prawica byłaby Polakom zarzucała nietakt, a p. Bobryński ochłonąłby w swym lirycznym nastroju, słowem, że wszyscy uczestnicy tej sesji byliby zostali wytrąceni z chłodnej, wymuszonej, odświętnej równowagi, sztucznie lecz szczęśliwie utrzymanej do końca. A jednak to jedno niewypowiedziane słowo mogłoby oczyścić atmosferę i wyjaśnić mglistą a męczącą sytuację. Dla naszych posłów byłoby ono rozgrzeszeniem z wielu popełnionych błędów, a może nawiązaniem nowych nici porozumienia między nimi, a opinją kraju, której coraz bardziej obcy się stają, byłoby wreszcie najsilniejszą obroną zainaugurowanego przez nich — wbrew większości opinji własnego stronnictwa — neosłowiańskiego kierunku. Widocznie jednak sprzeniewierzanie się własnemu programowi stanowi jedyną stałą cechę tej grupy politycznej, do której Koło należy.

Jakże śmiesznie wobec tego ostatniego faktu wyglądają dawniej stawiane kadetom zarzuty, że nie dotrzymali przyjętych względem Polaków zobowiązań popierania postulatu autonomji Królestwa Polskiego. Nie przesądzając postawy, jaką byliby dziś zajęli, gdyby Koło tę kwestję podniosło, przyznać trzeba, że ono im nietylko ułatwiło, lecz wprost narzuciło, w tym wypadku sprzeczne z ich programem, stanowisko. Czy można żądać dla kogoś tego czego on sam dla siebie nie żąda? Czy można mówić za tych, co sami upornie milczą w kwestji, która w pierwszym rzędzie im samym musi być bliską i palącą?

Czymkolwiek dla polityki rosyjskiej czy europejskiej może być kwestja polska — jej istnienie, jako kwestji do rozstrzygnięcia, zależy od samych Polaków. Nikt poza nimi nie jest ani zobowiązany, ani upoważniony ją podnosić. Przez swoje milczenie w trzeciej Dumie w tej ważnej chwili, Koło polskie wykreśliło kwestję polską z programu polityki rosyjskiej, słowiańskiej i europejskiej. Naturalnie wykreślenie to nie będzie miało dłuższego znaczenia niż

---

to powinieneś odczytać w duszy mojej wszystkie znaki, które w niej odcisnęła każda myśl, każde uczucie, każdy czyn. Jeżeli zaś ja mam ci je tłumaczyć, to ja sam będę moim sędzią, a nie ty.— Na to sędzia: Nie ty i nie ja sądzić cię będą, ale prawo. — Jakie prawo? — mówił Silon. — Ta książka, która przed tobą leży na stole? Przecie ona nie badała mnie i nie wie, czemu postąpiłem tak a nie inaczej. Ona jest paczką zadrukowanego papieru, w której siła spisała swoje rozkazy. Wyrokować o człowieku może tylko miłująca wiedza, a twój kodeks ani mnie nie kocha, ani nie zna. Ten, kto go układał, wcale o mnie nie słyszał i nie myślał, z jakiej więc mocy ma rozporządzać moim życiem?”.

Głosy Chyba Silon słusznie powiedział.
— Zdaje się...
— Nie przeszkadzajcie.

Orla „Niech tak będzie — odparł sędzia. Jakąż tedy wyznaczyłbyś sam sobie karę za oderwanie drzwi aresztu i wypuszczenie więźnia? — A jakąż byś ty — zapytał Silon — wyznaczył karę wiatrowi, gdyby on to zrobił i gdybyś go nawet złapał? Uwolniłbyś go, usprawiedliwiwszy tym, że musiał tak postąpić. Otóż i ja, widząc człowieka uwięzionego za to, że nie okazał czci kawałkowi galonu, przyszytemu do kawałka sukna, musiałem go uwolnić. Ty także ciągle uwalniasz siebie. Bo chociaż dopuszczasz się wielu czynów, których ta księga zabrania, ani razu nie skazałeś się na najmniejszą karę. Podobnie postępują wszyscy: karzą innych a uniewinniają siebie”.
Na dziś dosyć, bo już późna godzina.

Głosy Jeszcze chwilkę posłuchamy.
— Czytaj, kochana.

Orla „Pewnego razu ujrzał Silon długi rząd niewolników, wkopanych w ziemię po kolana, jako słupy płotu i trzymających rozkrzyżowanymi rękami żerdzie, na których bieliło się w słońcu rozwieszone płótno. Zdjął je, zwinął w wałek i cisnął w błoto.—Szkoda pięknego płótna—rzekł jeden niewolnik. — Nie szkoda najcenniejszej rzeczy — odparł Silon — którą rodzi niewola. — Pan zabije nas!—zawołał drugi.—Kto chce żyć — mówił Silon — niech się odgrzebie i pójdzie za mną. — Niektórzy odrzucili z nóg ziemię i udali się za nim, niektórzy pozostali, oczekując śmierci”.

niezrozumiała i nieokreślona akcja posłów polskich w trzeciej Dumie.

Mija znaczenie międzynarodowych umów i traktatów, mijają wzajemne zobowiązania mocarstw, zrywają się najtrwalsze przymierza i sojusze — więc i ciche umowy, tajne porozumienia lub milczące zobowiązania naszych „chodatajów" w obecnej Izbie państwowej nie zaważą na długo w dziejach narodu i pozostaną dla niego tylko przykrym lecz znikomym wspomnieniem.

M.

ANTONI SZECH.

Testimonium paupertatis polskiego katolicyzmu.

Na długi czas przed zapowiedzianym obchodem Papieskiego Jubileuszu, obóz katolików warszawskich był w poruszeniu. Chodziło o to, by katolickość Warszawy — ba, całej Polski,—zamanifestować godnie, by — naprzekór różnym niepokojącym objawom — okazać, że Polska pozostała niewzruszoną w wierności swej dla Kościoła, że jak dawniej sprawom jego służyła — z zapomnieniem o własnych interesach — w polityce, na polu bitew, tak dziś chociaż korzyć się umie przed Apostolską Stolicą, i podziw swój dla wszystkich jej zarządzeń wyrażać,—i „amen" mówić na wszystko, co od niej wyjdzie, i hymny pochwalne na cześć jej śpiewać, bez względu na wszystko — na przekór wszystkim.

Oto różne się budzą niepożądane — z punktu katolickiego — w społeczeństwie naszym objawy, oto bunty jawne powstają, oto lud, dotąd bezgranicznie wierny, słabnąć w swej katolickości zaczyna — oto wśród młodzieży duch inny się krzewi, oto obóz katolicki rozbity na kłócące się wzajem stronnictwa; ale właśnie tymbardziej zamanifestować należy, że pomimo wszystko Polska katolicką jest i będzie i od stóp Papieża nie odejdzie nigdy.

Tym tłumaczono sobie konieczność manifestacyjnych uroczystości Jubileuszu Papieskiego.

I uroczystości te, zapowiadane tak szumnie, ogłaszane tak hucznie, oczekiwane z tak tryumfującym nastrojem—odbyły się. I z dumą mówią o nich katolickie pisma i radością wzbierają na ich wspomnienie katolickie serca, bo uroczystości te dowodem, że nie tak źle jeszcze, że Kościół potężny u nas zawsze, że na długo spać spokojnie można, o losy jego się nie bojąc.

I zachwyt to szczery — i zadowolenie najzupełniej prawdziwe, i duma niekłamana.

I szły pompatyczne depesze do Rzymu, i płynęły dziękczynne odpowiedzi kardynała Sekretarza stanu, a z czasem posypią się nagrody papieskie, ordery, tytuły — zjawi się może nowy zastęp papieskich prałatów, papieskich hrabiów, papieskich cameriere secreto.

„I radość wielka panuje w „Izraelu" i brzmi wesele na Syonie"...

A jednak czy radość ta słuszna, czy wesele uzasadnione, czy tryumf prawdziwy?

Manifestacje, o ile są samorzutne, świadczą zawsze o sile jakichś ukochań i przekonań w pewnej części przynajmniej społeczeństwa. Co innego manifestacje robione.

Wbrew wszystkim wysiłkom „aranżerów", naprzekór wszelkim staraniom inicjatorów, bez względu nawet na pozorne powodzenie, mogą one być nieraz tylko stwierdzeniem zaniku uczuć, osłabienia ukochań, zamierania przekonań, o których żywotności świadczyć miały.

Pozornie udać się mogą, mieć znamiona tryumfu i za takie być ogłoszone — w rzeczy samej zaś są nieraz prawdziwą klęską, prawdziwym „testimonium paupertatis" jakiegoś kierunku, czy jakiejś idei, czy jakiegoś stronnictwa.

Takim „testimonium paupertatis" polskiego katolicyzmu był zaiste ów manifestacyjny obchód jubileuszowy.

Wielka sala Filharmonji wypełniła się „po brzegi". Przed popiersiem Piusa X, wynurzającym się z zieleni, zgromadziła się t. zw. „cała Warszawa". Mówcy ze „Związku Katolickiego" i „Chrześcijańskiej

---

Głosy Tchórze!
— Ale czy Silon obronił przed zemstą pana tych, którzy mu zaufali?

Orla On im chciał uratować tylko godność ludzką. „Przechodził Silon koło ogrodu,w którym robotnicy strząsali z drzew i rozgniatali nogami chrząszcze. Spytał dozorującego właściciela: Dlaczego każesz tępić te owady? — Bo zjadają owoce. — Alboż ty—mówił Silon—nie zjadasz owoców pracy twoich najemników?—Odejdź włóczęgo!— krzyknął właściciel i poszczuł go psem. — Nazywasz się człowiekiem — rzekł Silon — a stróżem twojej sprawiedliwości jest złe zwierzę."
Już więcej czytać nie będę, bo się nie wywczasujecie. Idziemy spać.

Stanko Tak, ale przedtym musimy załatwić jedną sprawę. Bracia i siostry, Orla nie może z nami nosić cegły wysoko.

Głosy Słusznie.
— Dawno trzeba było to powiedzieć.

Orla Dlaczego?

Stanko Dlatego, żeś mdła, że zginasz się pod dziesięcioma cegłami, jak gdybyś cały dom dźwigała, dlatego, żeś zmizerowana, dlatego wreszcie, że podmajstrzy rzuca na ciebie plugawe spojrzenia i słowa...

Głosy Prawda, prawda!

Orla Będę brała mniejsze brzemię.

Stanko Ustąp, bo przy pierwszej sposobności skopnę podmajstrzego z rusztowania tak skutecznie, że psy bez gryzienia mogłyby połykać jego kości.

Orla Stanku, nie zrobisz tego.

Stanko Ach, ja wiem, że gdy zechcesz, my temu wieprzowi nawet szczecinę na łbie wysrebrzymy. Ale nie upieraj się; tak dłużej być nie może.

Orla Czego chcesz? Ażebym była próżnującą damą a wy moją czeladzią? Chyba nie po to przyszłam do was.

Stanko Trzeba było przynieść z sobą nietylko mocną duszę, ale także mocne ciało.

Klimen Zważ przytym, że odzieżą robotniczą nie zakrywasz dostatecznie swego pochodzenia.

Dina Panowie, zdaje mi się, że patrzycie na nią rozmiłowanymi oczami.

Klimen Dino, nie rzucaj żaby w studnię. My chcemy pić czystą wodę.

Stanko Bracia i siostry, powiedzcie szczerze: czy

Demokracji" kolejno wygłaszali panegiryki na cześć Papieża i papiestwa. Chóry pieściły uszy słuchaczów melodjami w rodzaju „My chcemy Boga". Dochód z biletów był wcale pokaźny — żaden dysonans nie zmącił „poważnego nastroju", żadna nieprzewidziana nieprzyjemność ze strony „wrogów Kościoła" nie spotkała nikogo z uczestników ani z organizatorów — wolnomyślna Warszawa na katolickie prowokacje nie odpowiedziała żadnym protestem.

Pozornie wszystko było jaknajlepiej.

A jednak...

Uroczystość jubileuszowa była tylko stwierdzeniem publicznym martwoty, bezmyślności, bezruchu, i bezżycia naszego katolicyzmu.

Było to sztuczne poruszenie trupa, które trupi zapach rozniosło dokoła.

Było to popisywanie się mniemaną energją tabetyka, którego wysiłki politowanie tylko wzbudzić mogą.

Więc po tylu przygotowaniach, zapowiedziach, więc przy takiej dobrej woli pokazania się, więc przy tylu środkach materjalnych, którymi rozporządza obóz katolicki, więc przy tak gorących chęciach zamanifestowania swej katolickości wobec nieprzyjaciół Kościoła i gorliwości swej przed najwyższą władzą w Rzymie — *tylko tyle?*

Biedny ten katolicyzm polski!

Któż bowiem — przy całej szeroko rozwiniętej agitacji — zebrał się na uczczenie Papieża?

Któż to jest owa „tout Varsovie" — cała Warszawa, która wypełniła wielką salę Filharmonji?

Kto manifestował katolickość swą na uroczystości papieskiej?

Zaiste — jeśli z garstki wiernych, która się zbierała niegdyś w głębi katakumb rzymskich, można było z łatwością, bez pretensji do jakiegoś cudownego jasnowidzenia, przepowiadać potężny rozwój rodzącego się kościoła —

Jeśli słuchając niewykwintnych co do formy, ale natchnionych mocą wielkiego ducha przemówień katakumbowych kapłanów — można było mieć pewność, że bliską jest olbrzymia rewolucja ducha, co świat przemieni—

To widok tłumów, zebranych w Filharmonji na uroczystość papieską i ton przemówień katolickich naszych mówców świadczyć tylko może o starczym już uwiądzie, na który cierpi dziś Kościół,—o postępowym paraliżu, który osłabił i spętał dusze, kościołowi wierne, o powolnym a nieuniknionym konaniu tego, co kiedyś żywe było, w czym kiedyś potężne wrzało życie, co śmiało w wielką kroczyło przyszłość.

Bezmyślna, bawiąca się publiczność, ta sama, co zazwyczaj wypełnia różne dobroczynne bale, *niby* katolicka, a właściwie bez żadnych przekonań, bo do ukochania czegoś naprawdę niezdolna, rozflirtowana i rozpróżniaczona — garść ciekawych, którzy poszli na Jubileusz, jak poszliby na wystawę kucharską, na tańce murzyńskie, walkę byków lub „pikantne" kabaretowe widowiska — ciżba dewotek i czarny zastęp księży — zresztą trochę t. zw. katolickiej inteligiencji, dla której jeden rząd krzeseł wystarczyłby aż nadto,—

Oto kto reprezentował katolicyzm polski — kto manifestował uczucia religijne narodu i w imieniu narodu oświadczenia słał do stóp papieskiego tronu.

Młodzieży, która przyszłość stwarza, prócz paru „wiekuistych studentów" specjalnego chowu, nie było wcale.

Świata naukowego i literackiego, prócz niektórych naukowych i literackich miernot, pasowanych—w myśl przysłowia „na bezrybiu i rak ryba"— na wielkich katolickich myślicieli, brak zupełny.

Ludzi pracy, działaczy politycznych i społecznych — prócz działaczy wyłącznie katolickich — ani na lekarstwo.

Dla robotników urządzono osobne zebranie, zapewne by ułatwić Bogu osobne błogosławienie „każdego stanu", jak się tego domaga hymn Chrześcijańskiej Demokracji „My chcemy Boga".

Wszak należało się popisać demokratyzmem i działalnością społeczną katolików, która jako nikomu nieszkodliwa, nawet w obecnych warunkach jawnie istnieć może.

Ale nie robotnicy uświadomieni, inteligientniejsi zebrali się tu —

Orla nie wygląda śród nas, jak brzoskwinia między kartoflami?

Głosy Zapewne.

Dina Jako kartofel zrzekam się głosu; przyznaję tylko, że nasza piwnica zamienia się na salon z hołdami dla pięknych dam.

Orla Ty, Dino, jesteś tak dobra, że nie szydziłabyś ze mnie, gdybym na to nie zasłużyła. Pozwólcie mi dziś jeszcze przenocować z wami a jutro odejdę. Przepraszam was, że mimowoli wywołałam w waszym zgodnym bractwie drobny rozdźwięk.

Dina Ot, masz babo wronę za kokosz. Ugodziłam w nią a cisnęłam żart w tego (*pokazuje Stanka*) kapłanika, który każdą ładną buzię ustawia w ołtarz i odprawia przed nią nabożeństwo, zapalając innych jak gromnice. Nie miej do mnie żalu, gołąbko, i daj mi dziobka (*całuje ją*). Stanko czule grucha, ale ma słuszność. Nie możesz nosić cegieł, nie możesz nawet pokazywać się z nami, bo zdradziłabyś siebie, nas i całą sprawę.

Weszła Hena z naładowanym koszem i zaniosła go do bocznej piwniczki.

Orla Więc co mam robić?

Stanko Czytać nam wieczorami.

Pera A w dzień odzież nam łatać.

Dina Wzniosła ideja, bo nasze obłóczki są strasznie antikapitalistyczne i zrewolucjonizowane. Przynajmniej ja muszę coraz bardziej dekoltować się i to w najrozmaitszych miejscach. Ale czy to jagnię angorskie, które dotąd umiało tylko porastać delikatną wełną, potrafi nawlec igłę?

Orla Spróbuję.

Hena (*wychyliwszy się z bocznych drzwi*) Ja jej pomogę.

Klimen Sprawa zatym szczęśliwie załatwiona. Teraz, kochani, do pacierza.

Wszyscy stanęli półkolem i odmawiali wspólnie.

„Wierzę w boga-człowieka, który się narodzi z ludzkości cierpiącej, rozumnej i uszlachetnionej. Wierzę, że on naprzód osądzi grzesznych i nagrodzi cnotliwych, a potym zbawi wszystkich. Wierzę, że zawładnie całą ziemią i każdą duszą. Wierzę, że istnieć będzie wiecznie bez nieprzyjaciół i współzawodników, wcielony we wszystkie isto-

Lecz zastępy dewotów i tercjarzy i trochę przedstawicieli robotniczej burżuazji.

I brzmiały z estrady Filharmonji szumne frazesy o miłości Papieży dla Polski—oklepane, tysiąc razy powtarzane, a na ironję zakrawające zapewnienia o ich szczególnej dla nas troskliwości — i płynęły sztuczne, naciągane mowy, dowodzące, że białe jest czarnym, a czarne białym, że Pius X jest papieżem postępu, że największą jego zasługą dla ludzkości to potępienie „modernizmu"—że cokolwiek dobrego stało się w Polsce i ludzkości całej — to dzięki papiestwu.

I oklaskiwano mówców — upajano się ich słowy.

A wszakże, najbardziej nawet do nudnych zebrań przyzwyczajeni, najbardziej do bezmyślnych towarzystw przywykli, najbardziej nawet katoliccy i uroczystościom przychylni — przyznali jednak, że było *nudno.*

Ani jednego żywszego przemówienia, ani jednego, tchnącego naprawdę energją, życiem—słowa. Wszystko sztuczne, oklepane, tysiąc razy już powtarzane, a wszystko mdłe — bezduszne. Wszędzie atmosfera trupia, lochowa, dusząca.

I jak mogło być inaczej?...

Dla życia — wolności potrzeba...

W katolicyzmie niema jej i być nie może, więc i życie tam ginie, niknie — lub wegietuje zaledwie niedołężne, liche, marne.

A jeśli w jakiej duszy nie zamarło ono jeszcze, to dzięki nieporozumieniu, dzięki temu, że są ludzie, którym się *zdaje tylko*, że pozostają jeszcze w Kościele.

Prawdziwy rzymski katolik, z całą świadomością trzymający się nauki i przepisów Kościoła—to niewolnik ducha.

A niewolnik taki musi zwyrodnieć duchowo.

Uroczystości jubileuszowe warszawskie dowiodły tylko raz jeszcze, stwierdziły tylko dobitnie i publicznie, że katolicyzm się przeżył, że życie zatracił w sobie, że wszystko, co żyje, co w przyszłość dąży, wyszło już zeń lub przez nieporozumienie jedynie tkwi w nim jeszcze do czasu, że on próchnem już, żyjącym trupem —

Że przyszłość religijna ludzkości nie do katolicyzmu należy.

Że próżne wysiłki, by go ożywić — i próżne protesty, że on żyje i żyć będzie.

Trwać może długo jeszcze siłą inercji, przyzwyczajenia—urokiem przeszłości.

Trwać będzie długo, bo podtrzymywać go będą wszyscy, którym powaga jego potrzebna, jako sankcja przeżytych urządzeń i społecznego zachwianego ustroju.

Ale dla ludzi żywych, co nie w przeszłość, ale w przyszłość patrzą — on już umarł.

Nie tego chyba dowieść chcieli nasi działacze katoliccy, nie to miała okazać uroczystość jubileuszowa.

Ale jeżeli na nic innego zdobyć się nie mogli, jeno na manifestację niedołęstwa, bezduszności, duchowego serwilizmu i duchowego zdeprawowania — to zaiste dla samej sprawy katolickiej lepiej było od manifestacji się wstrzymać.

Ciekawym jednak jest fakt, że nawet *tacy* mówcy, którzy występowali na jubileuszowym obchodzie i do *takiej* przemawiali publiczności — uważali sobie za konieczność dowodzić postępowości papieża, postępowości Kościoła, naciągając fakty, kłamiąc samym sobie czy oszukując siebie i innych.

Czyżby ci mówcy odczuwali jednak, że nawet *tu* publiczność uświadamia sobie potrzebę postępu?

Że katolicyzmu takiego, jakim on jest — konserwatywnego bezwzględnie i wstecznego — nawet jubileuszowa publiczność by nie chciała?

Że nawet taką publiczność rzekomym postępem w Kościele okłamywać potrzeba?

I to „signum temporis" — i to volens-nolens hołd dla postępu — nawet u stóp posągu najwsteczniejszego z papieży.

---

ty ludzkie, stanowiące jedną jego rodzinę. Będziemy prągnąć, usiłować i czynić wszystko, ażeby tak się stało".

W milczeniu zaczęli się rozbierać, kładąc zwiniętą odzież w pętlę sznura, zawieszonego u sklepienia. Mężczyzni legli na posłaniach po jednej a kobiety po drugiej stronie piwnicy, pozostawiając między dwoma szeregami stóp wązką ścieżynę. Gdy nikłe światełko zgasło, noc zalała podziemie gęstą ciemnością. Hena weszła z latar-ką, ogarnęła czujnym wzrokiem i słuchem śpiących i odeszła, unosząc na swej grubej, szorstkiej twarzy lekki uśmiech zadowolenia, niby blask księżyca na korze drzewa. Tymczasem zagrzechotały chrapania, rozsypały się szmery, wyleciały z ust bełkoty i westchnienia. Ktoś zapukał. Hena wysunęła się z latarką, podeszła do drzwi i spytała:

Hena Kto?

Głos z zewnątrz Otworzyć.

Hena jeszcze raz obwiodła oczyma piwnicę i odkręciła klucz.

Dozorca policyjny Wybaczcie, że tak późno. Policjant jak kot łowi myszy w nocy. Nic przybył kto do was?

Hena Nie.

Dozorca Kazali znowu zrewidować wszystkie izby noclegowe. Jakiegoś tęgiego lisa tropią w jamach. Co to?

Hena Odzież wieszają na sznurze, ażeby w nią robactwo się nie zaszywało. Czy ja mogę dać im stołki i szafy? Co ja mam z tej nędzy? Tylko utrapienie.

Dozorca No, tak. Z tej bosej bandy nawet nasz naczelnik nicby nie wycisnął. Skąd wy nazbierali tyle hołoty? Widzę, że kobiety śpią razem z mężczyznami. Niech się bawią, aby tylko władza nie dowiedziała się, bo zaraz wydoiłaby waszą kieszeń.

Hena Gdyby władza wniosła przez dzień kilka tysięcy cegieł na trzecie piętro, zrozumiałaby, że potym nie można się bawić.

Dozorca No, no, młodość i to umie. Dajcie kilka groszy na wódkę — trzeba się orzeźwić.

Wsunęła mu datek do ręki.

Życzę dobrej nocy. Muszę jeszcze kilka noclegów zrewidować.

Hena zamknęła drzwi i powróciła do swej piwniczki. Noc zbliżała się ku brzaskowi. Powoli czarny jej płaszcz wycierał się i szarzał.

(D. C. N.)

Żywotność bloku.

Paryż, 20 grudnia.

Aby dokładnie pojąć pochodzenie i motywy *bloku*, należy przedewszystkim wyzbyć się mniemania, jakoby współdziałanie lewicy i skrajnej lewicy opierało się li tylko na umowie teoretycznej lub też — na rachubach wyborczych. Zapewne — oba te czynniki zaważyły sporo na orjentacji stronnictw skrajnych i postępowych, ale głównych źródeł porozumienia szukać należy głębiej.

A więc, przedewszystkim, czynnikiem decydującym *bloku* jest *program społeczny radykalizmu*. Nie cofa się on przed najrozleglejszą perspektywą, przed najdalszym wątkiem logicznym zasad W. Rewolucji, a zwłaszcza — Deklaracji praw z r. 1793-go, która, jak to nie wszystkim wiadomo, otwarcie i kategorycznie stawia wymogi ogólnego dobra (*utilité publique*) ponad interesami jednostki. W obecnym układzie sił jest to wyraźna orjentacja ku uspołecznieniu środków produkcji i wymiany z chwilą, gdy tego wymagać będzie dobro ogółu. Tym nie mniej jednak radykalizm strzeże bardzo czujnie *praw jednostki*, traktując takowe — czym różni się od kolektywistów właściwych — jako cenną rękojmię ogólnego również dobra. Na tę właściwość radykalizmu składa się nietyle kult oderwanych zasad, ile charakter społeczny francuskich *warstw średnich* — bardzo licznych, bardzo świadomych i pracujących bardzo czynnie nad polepszeniem zbiorowego bytu.

Oto jedna przyczyna. Druga — kryje się w rozpowszechnionym i silnym *wolnomularstwie*. Siecią swych potężnych organizacji objęło ono cały kraj, normując z cudowną precyzją prądy i zawroty opinji — niekiedy żywiołowe, niekiedy sprzeczne, niekiedy zbyt wyłączne. Zdala od gorącej atmosfery wieców publicznych — atmosfery tak podatnej do krańcowych wybryków, a tak obcej wskazaniom rozwagi politycznej — w ciszy swoich „pracowni" (pospolicie zwanych *lożami*), wolnomularstwo łączy we wspólnej sprawie, wspólnej trosce i wspólnej nadziei dobrane starannie rzesze inteligiencji, mieszczaństwa, robotników i chłopów.

Nie czas tu i nie miejsce, by wykładać ideje przewodnie oraz metody tej tak u nas ignorowanej Masonerji; nadmienię tylko, że kilkaset istniejących we Francji Lóż drogą ścisłego badania, wolnej i kurtuazyjnej wymiany zdań — osiąga zawsze zrozumienie punktów stycznych oraz możność współdziałania w tych nawet dziedzinach, gdzie, według panujących w Polsce poglądów, niemasz najmniejszej zgody między postępowcem i socjalistą.

* * *

Wszyscy wybitni radykali, wszyscy niemal wodzowie Zjednoczenia (*Parti Radical et radical-socialiste*) — należą do Masonerji. Kwestje bieżące i sprawy ogólnego znaczenia, co do których wypowiada się raz do roku kongres zjednoczenia — omawiane są starannie na zebraniach masońskich i na debatach konwentu czyli zjazdu, który poprzedza o kilka tygodni doroczny kongres radykałów. Uchwały tego ostatniego częstokroć są jedynie echem postanowień konwentu. Nietylko wnioski są analogiczne, ale i wnioskodawcy ciż sami... Wogóle konwenty masońskie wywierają wpływ potężny na sytuację polityczną kraju, regulując, łagodząc wynikłe w ciągu roku niesnaski, wyjaśniając nieporozumienia, godząc nieprzejednane ambicje i urazy.

Korzystam z kilku cytat, które mam pod ręką, aby unaocznić charakter akcji masońskiej. W roku 1905 ym zastanawiał się konwent nad sprawą *własności prywatnej*. Utartym zwyczajem powzięto *dwie* uchwały, z których jedna wyrażała zdanie *mniejszości*, druga *większości* zebranych. Uchwała pierwsza (107 gł.) brzmi jak następuje:

„Zważywszy, że własność jest ochroną swobód i godności człowieka, że więc ani wolność ani godność ludzka nie istnieją dla tych, którzy własności nie mają; zważywszy, że niezbędną konsekwencją zasady demokratycznej jest upowszechnienie własności w formie, na jaką pozwalają obecnie różne sposoby produkcji rolnej i przemysłowej;

Zważywszy, że w obecnym stanie społeczeństwa, we wszystkich wypadkach, gdzie własność prywatna, oparta na pracy osobistej, ustąpiła miejsca własności kapitalistycznej, opartej na pracy innych — niezbędną jest rzeczą, dla zabezpieczenia wolności wszystkim, uspołecznić zmonopolizowane środki produkcji, nie wywierając jednak żadnego przymusu prawnego względem osób, rozporządzających osobiście swym narzędziem pracy:

„Uznajemy, że odtąd wszystkie wysilki demokratów szczerych winny zmierzać do zamiany na własność społeczną nie tych środków produkcji i wymiany, które stanowią jeszcze własność osobistą, lecz tych, które przyjęły formę własności kapitalistycznej".

Uchwała druga (178 gł.) przyjęta przez konwent, głosi:

„Konwent,

„Ufny w hasło Masonerji, którym jest moralne i materjalne wyzwolenie wszystkich jednostek i wszystkich narodów;

„Natchniony zawsze i wszędzie ideją nieograniczonego postępu;

„Będąc stanowczym przeciwnikiem wszelkich przywilejów politycznych, ekonomicznych czy społecznych — kastowych czy klasowych;

„Lecz uważając, że nie należy wciskać Masonerji w dogmatyczną formułę ekonomiczną, którą uważa, co najmniej, za przedwczesną:

„Ogłasza, że Masonerja wytęży wszystkie swoje siły, by doprowadzić do końca dzieło reform politycznych i społecznych, które winny stopniowo, lecz niechybnie wyzwolić ludzkość z więzów, jakie w ciągu wieków nałożyły na nią instytucje teokratyczne i monarchiczne, a wreszcie nowoczesny kapitalizm".

Ostatnia uchwała brzmi może mniej kategorycznie, niż pierwsza, ale zato ujmuje sprawę w dziejowym pogłębieniu i wogóle bardziej licuje z wolnomyślną ideją masońską, jak to zauważa słusznie polski „organ katolików świeckich" z którego — usunąwszy błędy stylistyczne — czerpię dwie powyższe cytaty [1].

* * *

Ostatni kongres radykałów (Dijon paźdź. 1908 roku) postąpił drogą, utorowaną przez masońskich pionierów... Deput. Chauvin referent *komisji reform społecznych*, wytknął szereg motywów, nakazujących szanować własność prywatną, o ile takowa nie sprzeciwia się wymogom ogólnego dobra, przyczym Państwo (= Rzeczpospolita) posiadać winno możność stosowania odpowiednich środków... Pogląd ten ujął referent w trzy lapidarne formuły:

1) Własność prywatna opiera się na pracy i winna być uszanowaną;

2) Prawo własności prywatnej ustępuje wobec praw ogółu z chwilą, gdy wchodzi w bezpośredni zatarg z podstawowymi jego interesami;

3) Jeżeli zachowanie własności powoduje zanik osobistego udziału, pracy i zabiegów osobistych — jeżeli własność staje się kapitalistyczną — w takim razie ogół może i powinien wejść w jej posiadanie".

---

[1]) „Myśl Katolicka" (Częstochowa) Nr. 39. Art, naczelny p. t. „Masonerja socjalna.

Jeżeli mówi się potocznie, że radykalizm francuski podaje dłoń bratnią skrajnej lewicy—nie jest to bynajmniej jak widzimy, próżnym zwrotem retorycznym, lecz *faktem* ogromnej wagi—faktem społecznym.

Doniosłość tego faktu polega na tym, że wprowadza on główny dezyderat skrajnej lewicy w ruchome tryby Postępu prawnego, gdzie zatraca się jego utopijny i bojowy charakter, który zraża doń większość realnych działaczy.

Korzyść stąd znaczna i podwójna: kolektywizm przestał być straszakiem rewolucyjnym, z którego korzysta umiejętnie prawica wsteczna, jako ze środka pożądanej dywersji; zarazem ów neo-socjalizm wnosi do demokracji parlamentarnej ogrom świeżych sił, potężny rozmach twórczy, który nie cofnie się przed tytanicznym dziełem XX-go stulecia: emancypacją Pracy...

Kaskada hucząca, żywioł ślepy, bezładny, niekiedy niszczący i szkodliwy, został tą drogą ujęty w normę celową i skierowany ku turbinie postępu, aby wprawić ją w ruch przyspieszony i twórczy.

* * *

Lecz współdziałanie takie możliwym jest wówczas jedynie, kiedy skrajna lewica, targana wewnętrzną sprzecznością celów agitacyjnych i środków politycznych — złoży egzamin dojrzałości: potrafi zdobyć się na to, by przełożyć *politykę* nad *agitację*. Socjalizm reformistyczny musi zatym wyprzeć socjalizm nieprzejednany. Jest to warunek *sine qua non*, bez którego *blok* istnieć nie może...

Dobra wola radykalizmu, jego sumienność i śmiałość w traktowaniu kwestji społecznej — daje rękojmie pierwszorzędne, ale jednostronne. Podobną dobrą wolę, podobną sumienność i śmiałość musi wykazać skrajna lewica. Jeżeli radykaliści umieli oprzeć się pokusie łatwego oportunizmu *à la Gambetta* — to ze swej strony socjaliści muszą wyzbyć się *sui generis* oportunizmu rewolucyjnego *à la Hervé*, który kazał im wszcząć fatalne współzawodnictwo z żywiołem najkrańcowszym i najmniej sumiennym: z anarchosyndykalizmem.

* * *

Czy socjalizm francuski zdobył się na krok tak nieodzowny i tak doniosły? Przebieg ostatniego kongresu (Tuluza, październik, 1908) daje odpowiedź twierdzącą. Widziano tam zwrot nieoczekiwany ku polityce reform; słyszano grzmiącą apologję *bloku* z czasów Waldecka-Rousseau i Combesa, oraz niemniej grzmiące protesty przeciw niebezpiecznym wybrykom „nieprzejednanych", którzy, szkalując systematycznie i zajadle wszelką akcję parlamentarną i wyborczą — pchają stronnictwo w objęcia bractw anarchistycznych. Jaurès z właściwą sobie siłą argumentacji wyjaśnił istotę kryzysu:

— Utrzymujemy — wołał — w naszej partji utarty frazes o pożytku reform, parlamentu i głosowania powszechnego. Ale zarazem pozwalamy obrzucać błotem, szkalować i poniewierać politykę reform i akcję parlamentarną. Jest to rzecz fatalna i zgubna. Należy opamiętać się, powściągnąć... Wszakże niepodobna nam działać w dalszym ciągu z tą palącą sprzecznością czynu i frazesu!"

Znaczna większość zebranych przyznała mu rację; odpowiednia uchwała stwierdza solennie, że „Parti Socialiste Unifié" jest stronnictwem reform postępowych...

* * *

Na podstawie tych oznak przypuszczać można z wszelką pewnością, że—ile wypadek nieprzewidziany nie zakłóci tej nowej orjentacji — *blok* odrodzi się w październiku przyszłym, a w r. 1910-ym ujrzymy go przy pracy.

Leon Gorecki.

Kultura polska na Litwię.

Vae victis—to hasło złowieszcze zawisło nad nami; my jednak, oślepieni zaściankowością, nie odczuwamy całej doniosłości tego hasła i sądzimy, że pomimo nieprzyjaznych nam wiatrów idziemy naprzód, że rozwijamy się wewnętrznie i że pomimo splotów wężowych, coraz silniej nas ściskających, potęgujemy swą energję nad rozbudzeniem kultury rodzimej. Często przechwalamy się naszą tężyzną kulturalną, często prawimy sobie komplementy o naszej niespożytej energji, ujawnianej w kierunku sztuki, literatury i nauki. Przestańmy się mamić — czas już zdjąć bielmo z oczu, czas spojrzeć rzeczywistości śmiało w oczy — czas zrobić rachunek publiczny. Spójrzmy na dawną kartę Rzeczypospolitej — i przypatrzmy się, jakim wązkim strumykiem w niektórych miejscowościach płynie życie polskie — jak nas usunięto z dawnych siedzib, jak zacieśniono granice wpływów kultury polskiej.

Mam tu na myśli Litwę — kolebkę Mickiewiczów, Śniadeckich, Mianowskich, skąd, przed 75 laty wstecz, promieniowała tak obficie kultura polska, rzucając szeroko jasne snopy oświaty. Rok 1863 był tu rokiem przełomowym: Litwa milknie — ostatnie ogniska kultury polskiej zgaszono i już odtąd nie zapłonęły, ludność miejscowa polska usunięta od życia społecznego i publicznego, zamyka się w zaciszu domowym i tu, w szarzyźnie życia powszedniego, w walce o byt zatraca szersze dążenia i ideały. Myśl społeczna, bijąca tak niedawno szerokim zdrojem, karłowacieje, zanika, rozprasza się, rozproszkowuje na tysiące drobniutkich kwestyjek, regulujących ciasne koło interesów domowych. Żaden promień świetlejszy nie przedziera mroków. Jedyną ostoją polskości na Litwie zostają dworki i strzechy szlacheckie. Inteligiencja wskutek anormalnych stosunków, panujących w kraju, w walce o byt, zmuszona jest opuścić dawne siedziby i rozprasza się po wielkim obszarze Rosji Europejskiej i Azjatyckiej, zatracając tam w większości wypadków swą odrębność narodową i słabą podtrzymując łączność z krajem rodzinnym. Kultura polska na Litwie, wepchnięta biegiem wypadków w ciasne łożysko szlacheckie, kamienieje, cofa się wstecz, ustępując swe dominujące znaczenie kulturze państwowej. Szlachta oparła się zwycięsko zakusom asymilacyjnym, posiadając jednak ogromne zapasy energji biernej, wyrażającej się w silnym przywiązaniu do ziemi, do dawnych tradycji, nie umiała przetworzyć swej energji w czyn. Pogrążona w świetlnych obrazach przeszłości, pochłonięta całkowicie ideją obrony placówek, nie szła z życiem naprzód, nie trzymała pulsu społecznego, nie odczuła, że tworzy się za nią nowe życie, nowe cele, nowe dążenia. Skamieniała szlachta w swym rozwoju, a że ona była jedyną świadomą strażniczką polskości na Litwie, z nią skamieniała i praca twórcza nad kulturą polską. Prawo natury głosi, że to, co jest wstrzymane w swym rozwoju, musi zanikać — zamrzeć. I prawo to w okrutny sposób sprawdza się na Litwie.

Demokratyzacja ogólna,—to zjawisko powszechne,—dotknęła i Litwę. I tu jak wszędzie ocknęły się tłumy śpiące od wieków i samodzielnie zaczęły torować sobie drogę. Pierwsze jednostki wyszły z ludu, garnęły się pod skrzydła opiekuńcze kultury polskiej, szukając poparcia u żywiołu polskiego dla swych celów i dążeń. Oddźwięku jednak nie spotkały. Ogół szlachty litewskiej, pogrążonej w ciasnym kole przesądów kastowych, z wyższością dobrze urodzonych patrzył na parwenjuszów, ośmielających się szerzyć

„warcholskie" ideje. Ochrzcono ich nazwą „litwomanów", szydzono z ich miłości ku szerokim masom, odepchnięto brutalnie. W duszach zbagatelizowanych pionjerów ruchu ludowego zrodził się bunt przeciw szlachecko-polskiej kulturze, i utożsamianie polskości ze wstecznictwem i obroną klas posiadających. I gdy początkowo język litewski był dla nich środkiem agitacyjnym, by rozbudzić masy ludowe i zaszczepić w nich świadomość człowieka, później zaczynają myśleć o wytworzeniu własnej kultury — kultury litewskiej, czerpać dla niej podłoże ze Wschodu. Ruch litewski—jest to walka klasowa na tle narodowościowym.

I od lat 20 widzimy stały wzrost kultury litewskiej i stałe cofanie się kultury polskiej. Krok za krokiem pierwsza wywalcza sobie prawo obywatelstwa, zagarniając pod swój sztandar wszystko co młodsze, silniejsze i zdrowsze. Coraz częściej się spotyka zwolenników nowego ruchu nawet wśród młodzieży, wychowanej w domu w kulturze polskiej. Myśl polska na Litwie dotychczas śpi, nie umie się wzbić ponad ciasne horyzonty dawnego światopoglądu.

Swietne dawne mary nie mogą przemówić do młodzieży, i ona szukając nowych dróg rozprasza się w partjach rosyjskich lub litewskich, podporządkowując swe interesy narodowe ogólnym hasłom. Smutne perspektywy tymbardziej, że instytucje publiczne i szkoły stają się przewodnikiem i rozsadnikiem obcej kultury i cywilizacji. Jedynym wyjściem z tego błędnego koła to byłaby zdwojona praca żywiołów polskich nad kulturą polską, podjęta w imię szerokich haseł postępu. Inaczej sprawdzą się słowa emisarjuszy neopanslawistycznych i staniemy się na Litwie żywiołem „inkrustowanym". Być, albo nie być — oto wobec czego obecnie stoimy na Litwie.

Zubowicz.

Pierwszy międzynarodowy kongres wychowania moralnego.

(Londyn 25/29. IX. 1908 r)

Podniesienie etycznego poziomu młodzieży przez reformę szkoły jest jednym z najbardziej palących zadań chwili obecnej. Echa usiłowań, podejmowanych w tym kierunku, odbiły się w ostatnim czasie i u nas w znamiennej postaci całego szeregu zakazów o charakterze policyjno - administracyjnym. Że jednak mało wiary budzi skuteczność podobnego środka, czynione są wciąż próby osiągnięcia celu na innej, racjonalniejszej drodze.

Najmocniejszym wyrazem dążeń, o których mowa, było zwołanie do Londynu we wrześniu r. b. pierwszego międzynarodowego kongresu wychowania moralnego. Na wezwanie stawiła się liczna, różnojęzyczna i różnoplemienna rzesza pedagogów z powołania, oraz oficjalnych przedstawicieli cywilizowanych państw Zachodu i Wschodu. O doniosłości i aktualności sprawy świadczy też fakt czynnego uczestniczenia w pracach kongresu ludzi najrozmaitszych odcieni stronnictw politycznych, wyznań religijnych i filozoficznych światopoglądów.

W długim szeregu referatów oraz dyskusji, jakie wywiązały się na ich temat, poruszono i — mniej lub więcej gruntownie, rozpatrzono podstawowe postulaty pedagogiczne: samorząd szkolny; świecki i religijny kierunek wychowania; kary i nagrody; literaturę dziecięcą; koedukację, i wreszcie — wychowanie dzieci nienormalnych. Dzięki powszechnemu na kongresach angielskich zwyczajowi wydawania t. zw. „Papers" [1]) czyli dokumentów, obejmujących wszystkie, komunikowane kongresowi przez autorów referaty (in extenso), wraz z notowanym stenograficznie przebiegiem dyskusji — mamy obecnie możność dokładnego rozejrzenia się w pracach kongresu i zdania z nich sprawy naszemu ogółowi. Oczywiście uczynić to możemy w najogólniejszych jedynie zarysach.

Wspomniana już różnobarwność idejowa uczestników kongresu nie przeszkodziła przyjęciu niektórych uchwał bez protestu. Taką była, przedewszystkim, postawiona przy otwarciu kongresu przez jej przewodniczącego, prof. Sadlera, uchwała, dotycząca autonomji szkoły średniej. Wszyscy uczestnicy zgodzili się jednomyślnie, że o oddziaływaniu na młodzież, w sensie umoralniania jej, nie może być mowy tam, gdzie ryczałtowe programy opracowywane są przez centralne władze oświatowe i szerzone za pomocą okólników, obowiązujących nieodmiennie wszystkie szkoły pewnego, określonego — również z góry — typu.

Za jedynie racjonalny natomiast uznano ustrój szkolny, pozostawiający każdej szkole średniej jak najszerszy samorząd, co zresztą przekazały nam już wieki średnie,tak, że wiekowi dwudziestemu pozostaje jedynie natchnąć daną organizację duchem spółczesnym.

Nadto, jeśli wychowanie moralne rzetelną przynosić ma korzyść, nietylko szkoła może być samorządną, lecz istnieć muszą obok niej komitety uczących się. Myśl tę za głównymi jej referentami: dyrektorem słynnej szkoły w Harrow, Arturem Hartem, oraz Feliksem Adlerem, profesorem z New-Yorku, rozwijali i popierali w przemówieniach swoich wybitni pedagogowie amerykańscy i skandynawscy. Stwierdzili oni — na podstawie doświadczenia, zdobytego już w szkołach podobnego typu,—że t. zw. *self—government* (samorząd) wychowańców poważny wywiera wpływ na podniesienie poziomu etycznego uczniów, o ile wychowawca potrafi należycie wyzyskać powagę, jaką cieszy się wśród uczniów rozumnie zorganizowana rzeczpospolita szkolna.

W bezpośrednim związku z samorządem wychowańców pozostaje pielęgnowanie ducha inicjatywy, zazwyczaj traktowanego po macoszemu, gnębionego przez szkołę i rodzinę. Wymownie odtworzył całe zło tego stanu rzeczy jeden z praktycznych pedagogów francuzkich, Paul Croizet, który, na kilku barwnych przykładach stosowanej powszechnie sztucznej tresury umysłów dziecięcych, pokazał, jaką drogą z dziecka, zdradzającego oryginalny kierunek myśli i upodobań, wytwarza się bezduszna kopja wychowawcy. Zarazem jednak ostrzega Croizet przed częstym w ostatnich czasach wpadaniem w przeciwną krańcowość, mianowicie przed zupełnym lekceważeniem dyscypliny wychowawczej, jak trafnie bowiem wyraża się: *„qui dit initiative, ne dit pas anarchie"*. Innymi słowy: zachowując właściwy umiar, kierować należy rozwojem duchowym dziecka, nie zabijając w nim jednak ducha inicjatywy, jako niezbędnego czynnika rozwoju i postępu.

O ile konieczność samorządu szkoły uznana została przez wszystkich obecnych za postulat podstawy umoralniania uczącej się młodzieży, o tyle spornemi okazały się inne, niemniej zasadnicze zagadnienia wychowawcze. Najgorętszą była dyskusja nad kwestją kierunku religijnego czy świeckiego, jaki szkoła ze względów moralnych obrać powinna. Liczny udział duchowieństwa w pracach kongresu wpłynął na różnostronne oświetlenie sprawy, a tym samym na jej pogłębienie. Oba obozy wytoczyły naj-

---

[1]) *Papers on Moral Education*, Communicated to the First International Moral Education Congress, September 25—29, 1908.

mocniejsze swoje działa celem udowodnienia słuszności głoszonych poglądów. Przyznać też należy, że obie strony argumentowały jednakowo ściśle, logicznie, a nadewszystko *sine ira*.

Podstawą dowodzeń stronników wychowania religijnego, z pośród których siłą wymowy wyróżniał się jezuita, rektor szkoły w Lancashire, była teza, głosząca, że „chrześcijanie posiadają moralność, której pozbawieni są poganie". Na tezę tę postawioną już w wieku XVIII-ym przez jezuitę Le-Beau w jego „Histoire du Bas Empire", odpowiedział w swoim czasie Voltaire, przeciwstawiając jej etykę pogan: Sokratesa, Cycerona, Epikteta i Marka Aureljusza. Pod tym więc względem mieli stronnicy moralności świeckiej ułatwione zadanie. Dużo zasadniejszą była, zaznaczona przez zwolenników kierunku religijnego w wychowaniu, konieczność stworzenia w umyśle wychowańca wysokiego, uszlachetniającego ideału, jakim może być—zdaniem ich—jedynie postać Chrystusa. Ziemski żywot Jego łącznie z boskim Jego charakterem, ujawionym w Ewangielji, składają się na najdoskonalszy, najdostępniejszy dla umysłów dziecięcych ideał etyczny. Z tego też względu, zdaniem przedstawicieli tego obozu, uważać należy religję chrześcijańską za najwyższą dźwignię moralną w całej historji ludzkości. Wogóle musiały wszelkie ich argumenty zamykać się z konieczności w obrębie autorytetu bóstwa, jako jedynego źródła nakazów moralnych.

Wywody te odpierali zwolennicy czystej moralności argumentami, opierającymi moralność nie jak tamci na dogmatach z góry narzucanych, lecz na poczuciu dobra i prawdy, tkwiącym w głębi serc ludzkich, skąd wydobywać je dopiero musieli twórcy wszelkich systemów religijnych.

Najmocniejszymi były w tym kierunku argumenty zawarte w referatach, stanowiących sprawozdania z wyników działalności praktycznej w danej dziedzinie. Jednym z takich był referat Japończyka T. Hojo, o specjalnym kursie moralności, wykładanym w szkołach japońskich i nie mającym nic wspólnego z doktryną religijną czy rytuałem. Kurs rzeczony opracowała w ciągu 4-ch lat (1900—1904) komisja, której pracę tę powierzyło japońskie ministerjum oświaty. Wynikiem jej jest 8 podręczników do nauczania moralności, przeznaczonych dla nauczycieli i 8—dla uczniów. Wszystkie już obecnie szkoły japońskie, niższe, średnie i wyższe, kształcące ogółem około 5,350,000 uczniów płci obojej, stosują podręczniki te przy prowadzeniu specjalnego kursu moralności. Jako wstęp do niego służy, ogłoszony w 1900 manifest cesarski, zawierający następujące nakazy moralne: „Miłość dzieci dla rodziców, miłość braterska, małżeńska, przyjaźń, wyrozumiałość, umysłowe doskonalenie się, pielęgnowanie sztuk i nauk, a nadewszystko uwzględnianie zawsze i wszędzie dobra ogółu". Każda klasa przechodzi specjalny kurs moralności, zaczynając w najniższej od wzajemnych stosunków koleżeńskich uczącej się dziatwy, przechodząc w klasie średniej do stosunku względem rodziców i szkoły i kończąc wreszcie w najwyższej na stosunku do państwa i monarchy. Ilustracją kursu są żywoty znakomitych ludzi, zarówno Japończyków jak obcokrajowców.

Wychodząc z zasady, że konstytucja japońska zapewnia zupełną wolność przekonań, zaznaczają podręczniki do nauki moralności, że każdy Japończyk może obierać jaką chce wiarę, a tym samym nie ma powodu szydzić z inowierców lub też lekceważyć ich. Hasła tolerancji obejmują również stosunek przyszłego japońskiego obywatela do obcych państw i narodów, nakazując mu uprzejme i życzliwe ich traktowanie, bowiem — jak wyjaśnia uczniom nauczyciel moralności — „szydząc z innych, poniżamy samych siebie i własną naszą ojczyznę".

Jak należało się spodziewać, wystąpili na kongresie z gorącą obroną wychowania świeckiego pedagogowie francuscy. Stwierdzili oni przez usta najwymowniejszego swego przedstawiciela, prof. Ferdynanda Buissona, że Francja doszła na drodze doświadczenia dziejowego do uznania systemu, uniezależniającego wykład etyki od wykładu religji, jako dwu odrębnych zupełnie czynników. Zdaniem Francuzów, może i powinien każdy wolny naród dać każdemu wychowańcowi szkół państwowych wychowanie moralne w całej rozciągłości tego pojęcia. Wychowanie podobne opierać się musi na takich jedynie dowodach rozumowych, które przyjąć mogą wyznawcy wszelkich religji. Świeckie szkoły we Francji nie walczą bynajmniej z religją, nie chcą one tylko uczyć jej zasad w szkole, też nie chcą dawać pierwszeństwa któremukolwiek z dogmatów w stosunku do innych. Nauczyciel świeckiej szkoły francuskiej nie pyta, czy rodzice jego ucznia są katolikami, protestantami, żydami czy też wolnymi myślicielami.

Jedynym celem szkoły jest wychowanie dziecka na uczciwego, moralnego człowieka. Dla osiągnięcia zaś celu tego wystarczy rozwijać jego rozum, serce i wolę, mówiąc mu o miłości, dobru i pięknie. Pedagogowie francuscy wierzą w humanitaryzm, jak inni wierzą w kościół, biblją zaś jest dla nich, w miejsce Pisma Świętego, dusza ludzka.

(D. n.) *R. C.*

NA DOBIE.

Rocznica poety.

Kraj, którego „nie znajdziesz na pocztowej karcie", który w sto lat dopiero przez wnuków dochodzi do poznania dzieł swych dziadów,—naród, który ścigać musi swą przeszłość, karmić się jej okruchami i na nich budować gmach swego bytu — nie wśród krzyżów męczeństwa i tryumfu szykuje sobie miejsce, ale raczej powinienby być podobnym do tych zapomnianych kurhanów, które wiatr stepowy grzebie i piaskiem zasypuje.

Co dziś posiane, dzisiaj wzejść musi, lub nie wzejdzie nigdy, a nasze ziarna wszystkie, co najdroższe—więził pod niemym całunem zapomnienia, przedłużający się mrok srogiej zimy, aż jedne poniszczył, drugie powarzył i plenną ich siłę uszczuplił, a inne tak własną naturą przepoił, że zahartowane i skamieniałe—już tylko do świata wspomnień i pamiątek należeć mogą.

Nie umiem się pogodzić z myślą, że są jeszcze jakieś niewydane kartki Słowackiego, których nie znam, które nie stały się jeszcze własnością narodu. Rumienię się, że jestem obywatelem kraju, który dzieła swych wieszczów z pokropkowanych znał dotąd edycji i za poszczerbionymi murami warowni pędził żywot wydziedziczonych — nędzarzy.

Niech mi nikt nie mówi, że druk nie oskrzydla słów, by je nieść pod strzechę chat i pokrzywione powały poddaszy i suteryn, czy w wązkie kojce, w których się gnieżdżą cnotliwe kokosze i płodne kogutki; że myśl nie tak łatwo zjadaczów chleba w aniołów przerabia, że zbyt wysoko leżą zwykle te źródła, z których bije dusza narodu, by naród cały mógł z nich czerpać... Jest w słowie wieszczym ta siła fatalna, co mrok przedziera, przegrody łamie i niechęci targa, niszczy i tworzy, gryzie niewidzialna. Ale do ży-

cia potrzeba mu powietrza, swobody ruchu, rozmachu rzutu, potrzeba mu wolności działania i tego przestworu, który ech nie łamie.

By słowo ciałem się stało, musi być wolne z ducha i wolne w swym ruchu.

Ale o dziesiątki lat spóźniony głos, przez dziesiątki lat tłumiony jęk, czy zgrzyt, wesela okrzyk, czy oburzeń grom—traci swój ton, swej siły się zbywa i choć się wreszcie poprzez dale przedrze, już się echem potężnym ozwać—nie jest w stanie. Słuchamy go ze czcią i w skupieniu, ale serce nasze już się z nim nie jednoczy, bo słowo jak i człowiek wyżyć się musi w swoim czasie i jak szermierz z tarczą lub na tarczy schodzi wreszcie do grobu zapomnienia lub świątyni pamiątek. A te w czyścowych lochach przetrzymane duchy za życiem tęskniące, choć z księgi żywych już wymazane, dziwnie przykre robią wrażenie i jakąś uroczną wskrzeszają legiendę o półumarłych rycerzach, co z grobów na ziemię wracają, by nieskończony, czy niewyśniony bój—w pośmiertnych staczać zapasach.

Dzieje ducha naszego narodu pełne są opowieści o takich półumarłych rycerzach, którzy za życia nie pokończyli rachunków z życiem i z mogił wyciągają dłonie po ciało dla swych słów, po ducha dla swych nie spełnionych marzeń, po wieńce dla swych grobów.

O jednym z takich półumarłych rycerzy przypomniała mi pewna rocznica: 1-go stycznia 1909 roku upłynęło sto lat od dnia urodzin autora „Kirgiza".

Gustaw Zieliński nie należał do gwiazd pierwszej wielkości na naszym niebie, ale był on jednym z pierwszych, który zwiedził naszą drugą ojczyznę, oblaną łzami, przepojoną potem, zasianą kośćmi naszych osiedleńców; był jednym z tych, którzy podjęli ten krwawy na swój sposób podbój i z dalekiego Tobolska zrobili Mekkę, stanowiącą cel przymusowych wędrówek dla synów Medyny—przez prawo pozbawionych praw do swej ziemi.

W poezjach Zielińskiego znajdujemy najpierwsze opisy krajobrazu azjatyckiego, poznajemy z nich te stepy rozległe, które na trzy miesiące zaledwie pokrywają się bogatą roślinnością, a przez resztę roku stanowią olbrzymie morze śniegu, po którym hulają zamiecie.

Ile serc kochających biło troską i niepokojem, łowiąc najlżejsze echa, dochodzące z tych stron,—ile roztęsknionych par oczów zwracało się w Polsce ku nim w czasach, gdy Zieliński pisał swe strofki poświęcone stepom Iszimskim, wylewał swe żale za daleką utraconą ojczyzną!

Ale właśnie wtedy nie można było w Polsce czytać poezji Zielińskiego. Te serdeczne posłania do dusz nie dochodziły swego celu; po drodze zatrzymywała je cenzura i, o dziwo, dopiero przed paroma laty pierwsze kompletne wydania poezji Zielińskiego dostały się do rąk naszych. Doszły nas w chwili, gdyśmy już znali Sieroszewskiego ,a stylizowane, idealizowane opisy autora „Kirgiza" witaliśmy z innym sercem i mieliśmy dla nich wszyscy te słowa pobłażliwej krytyki, które w swoim czasie napisał o nich Adolf Januszkiewicz: „Trzeba nie widzieć kirgizkiego stepu, by prawić o błękitnych wzgórzach, sinych falach jeziora, kwiatkach pamięci—niezabudkach... Nasz step nie przedstawia się podróżnemu w tym wabnym i pieszczonym stroju,w jaki ty jego ubierasz; ma on swoje piękności, lecz—właściwe sobie".

Ale mniejsza jeszcze o te opisy. Leży w nich piękno, które się nie starzeje i polega nie na prawdzie realistycznie pojętej, nie na zgodności opisu z rzeczywistością, ale tkwi w tym pięknym, świetnym, brylantowym Bohdanowym języku, w bogactwie rytmów i obrazów. Tutaj przemawia do nas jeszcze Zieliński swą poezją. Ale już ze sposobu pojmowania tych krajobrazów, jak i z każdego innego wiersza, czy poematu przebija coś, co o kilkadziesiąt lat zostało spóźnione i straciło przez to możność osobistego, bezpośredniego przemawiania do nas. Czytamy je jak list w zapomnianej odkryty szufladce, świętość szanując pamiątki; czytamy je ze czcią i w skupieniu, ale list ten jest pisany nie do nas, a ci, którzy nad nim łzy ronić mieli, dawno już spoczywają w grobach.

Gdy Zieliński opiewa swe zawody i zwątpienia, swe marzenia i kochania, gdy myślą zwraca się do swego Boga lub wznosi okrzyk na cześć przyjaźni, już tym wybuchom uczucia nie wtóruje w naszej duszy jakiś bezpośrednio przez nie zbudzony dreszcz.

Rozumie się, że najistotniejsza moc oddziaływania leży w sile talentu, a Zieliński nie należał do tych gienjuszów, którzy wieki obejmują i wieki przeczuwają, to jednak i te słowa w swoim czasie wypowiedziane i dosłyszane—daleko szerszy, daleko głębszy znalazłyby były oddźwięk, niż dziś, gdy przemawiają do nas tylko tęskną mową pamiątek, gdy są jak te królewskie pacholęta, które nie zaznawszy boju, ni znoju, ni zwycięstw rozgłośnych, pod cień marmurowych cisną się grobowców w imię praw swej krwi, w imię królewskiego swego pochodzenia.

Królewskie pacholęta i półumarli rycerze...

Stefan Gacki.

ECHA PRAWDY.

Będziemy nietykalni! Tę radosną wieść przynosi nam prasa na Rok Nowy, rozgrzewając nadzieją lepszej przyszłości tych zwłaszcza, których niestać na ogrzanie się węglem kamiennym. Nawiasem mówiąc— ceny opału mają podobno iść w górę, w miarę jak termometr opada na dół. O tę kompensatę troskliwe czynią zabiegi opiekuńczy dostawcy węgla. W takich warunkach, naturalnie, prasa musi oprócz *ciepłych* słówek powinszowań noworocznych i *gorących* wezwań o prenumeratę, dać czytelnikom jeszcze jakiś pokrzepiający i podniecający eliksir, działający na wyobraźnię.

Cóż może być ponętniejszego, bardziej upragnionego dla nas, nad nietykalność osobistą?!

I oto, specjalnie na ten cel obrana komisja Dumy zaopiekowała się nami troskliwie i uchwaliła imponującą większością projekt, który zapewne jeszcze w tym roku, a najdalej w przyszłym, zostanie wniesiony pod obrady Dumy, — niewątpliwie zaś wejdzie w życie, zanim pierwszy tramwaj przejedzie przez trzeci most na Wiśle.

Tymczasem rozkoszować się możemy przynajmniej bliższym rozpamiętywaniem owego „habeas corpus", które uszczęśliwi mieszkańców Cesarstwa i Królestwa.

A zatym słuchajmy: „Nikt nie może być karany inaczej, jak tylko na drodze określonej przez prawo, ani sądzony inaczej, jak tylko przez sąd, któremu podlega czyn zarzucany podsądnemu". A zatym administracyjny porządek — requiscat in pace!

Powoli, powoli! Qui va piano — va sano! „Bez żądania władz sądowych, osoby podejrzewane o dokonanie czynu występnego, mogą być aresztowane przez policję jedynie w następujących wypadkach: podczas przestępstwa lub bezpośrednio po nim, gdy poszkodowani lub naoczni świadkowie je wskażą, gdy na nich lub w ich mieszkania znaleziono rzeczy, dowodzące uczestnictwa w przestępstwie, gdy nie mają stałego miejsca zamieszkania, lub uciekają" — naturalnie o ile je dogonić można.

A zatym policja nie będzie mogła aresztować tych, których o nic nie podejrzewa, którzy idą mia-

rowym krokiem, którzy nie mają żadnych rzeczy ani przy sobie, ani w mieszkaniu, (bo jakże trudno na pierwszy rzut oka ocenić jaka *rzecz* czego dowodzi),— którym poprzednio mieszkania i kieszeni nie przetrząśnie, i których jej nikt nie wskaże, bądź to jako poszkodowany, bądź jako naoczny świadek. Gotowych „naocznych świadków" chyba nigdy jej nie zbraknie, wobec mnóstwa ludzi jej dobrze znanych, a mających oczy ku patrzeniu, a uszy ku słuchaniu — trudno więc sobie wyobrazić, aby nietykalność osobista w tym względzie zbyt dotkliwie krępowała policję.

Idźmy dalej: „Nikt nie może być ograniczonym w wyborze miejsca zamieszkania, lub przenoszenia się z miejsca na miejsce, prócz wypadków przewidzianych przez prawo". To znaczy: prócz aresztowanych, oddanych pod dozór policyjny, zesłanych — prócz żydów poza granicami osiadłości i t. d. i t. p. Bezpieczniej jest w każdym wypadku zapytać się, czy niema przeszkód do wyjazdu, ani ze strony rządcy domu, ani w cyrkule, ani w żadnej innej instancji.

„Mieszkanie każdego będzie nietykalne". Rozumie się, wyjątek stanowi przewidziane w poprzednich paragrafach szukanie rzeczy, mogących czegoś dowodzić, lub mogących zniknąć, zanim ewentualny sędzia śledczy dowie się o podejrzeniach policji.

„Tajemnica korespondencji pocztowej i telegraficznej oraz rozmów telegraficznych pogwałcona być nie może". Wyjątki czynić wolno celem wykrycia czynu występnego. Bierze się stos zaadresowanych i zalepionych listów... O, bogowie! ileż zbrodniczych tajemnic kryć się może wewnątrz tych zagadkowych kopert?! Istna kopalnia dla SherlockaHolmesa. A któż przewidzi, gdzie znajdą się najcenniejsze wskazówki dla gienjalnego wywiadowcy? Zatym, na chybił trafił: to dużą szarą, to małą różową rozrywa się kopertę. Nie udało się, ale chęci były dobre. Tajemnica korespondencji prywatnej pogwałconą być nie może — chyba w lojalnym,prawomyślnym celu.

Niestety wszystkie te szerokie, nieomal amerykańskie swobody otrzymamy wtedy, gdy znikną już z powierzchni państwa wszystkie stany wyjątkowe... Jest dziś kilka takich szczęśliwych gubernji w Cesarstwie. Tymczasem:

„Wolno pisać o wszystkim, — aby tylko nie mówić o władzy, ani o prawach, ani o religji, ani o moralności, ani o literaturze, ani o sztuce, ani o finansach, ani o armji, ani o urzędnikach, ani o arystokracji, ani o handlu, ani o podatkach,—zresztą o wszystkim— pod czujną opieką kilku cenzorów". — To już nie z uchwał komisji, tylko z Wesela Figara.

D.

LITERATURA I SZTUKA

W sprawie Wawelu.

Centrem Polski historycznej, celem wędrówek turystów polskich ze wszystkich zaborów, pielgrzymek ludu, który w tłumnych wycieczkach napływa co roku z całej Galicji, ze Śląska, Poznańskiego, a nawet z Królestwa, jest Wawel. Wawel w nadziejach ludzi przyszłości, to korona i symbol Polski kulturalnej, to świadectwo długowiekowej cywilizacji, którą każde pokolenie przeobraża według swoich ideałów i poglądów.

To też, kiedy wreszcie w 1905 r. nastąpiła częściowa ewakuacja Wawelu przez wojsko, a 5 sierpnia tegoż roku kraj objął w posiadanie historyczną część zamku, całe społeczeństwo polskie interesować się poczęło jego odbudową i przeznaczeniem. Nie dość bowiem, aby historycy i konserwatorowie zastanawiali się nad stylem w jakim należy szacowne mury utrzymać, nad szczegółami, które przekazały różne wieki, aby badali rachunki i inwentarze, uwidoczniające zmianę i dodatki. Głos mają również artyści, jak dostosować przebudowę do dzisiejszych pojęć o pięknie. Oni to orzec muszą, jak czasy nasze pojmowały wymagania struktury, jak pogodzić historyczną wierność i pjetyzm dla zabytków z odczuciem harmonji, jak wytworzyć dzieło sztuki. Odezwały się również głosy za wytworzeniem muzeum narodowego na Wawelu, a zatym rzeczy żywej, któraby interesowała cały polski ogół. Pojawia się projekt zużytkowania i zabudowania całego wzgórza, podany przez Stanisława Wyspiańskiego i Władysława Ekielskiego.

Wyspiański, który całą twórczością tkwił w murach Wawelu, w nim symbolizował przeszłość Polski, a dostroić do niej pragnął i przyszłość, kreśląc program Akropolis,—chciał w nim skupić szczyty duchowego życia narodu. Stawia przeto postulaty: pozostawić zamek królewski raczej pustym, niż przerabiać go na cele zbiorów publicznych, restytuować kościół św. Michała, przenieść na Wawel Muzeum Narodowe, kurję biskupią i Akademję Umiejętności, wreszcie—urządzić na stokach Wawelu, od strony Bernardynów, Stadion Sokole. Oczywiście wszystkie te instytucje przedstawiały się poecie w swym idealnym, czy zamierzonym, czy wreszcie symptomatycznym znaczeniu.Ześrodkowując je na Wawelu, myśląc o całości narodowego życia, nie było miejsca na krytykę i zaznaczenie, o ile swym idealnym celom odpowiadają obecnie. Projekt doczekał się krytyk ze strony Fr. Mączyńskiego, Nicemja Ziemięckiego i Leonarda Lepszego, którzy protestowali przeciw niektórym szczegółom, zwłaszcza przeciw podziałowi na trzy dziedzińce, co uniemożliwiłoby obchody narodowe lub uroczystości dworskie, oraz przeciw pozostawieniu zamku pustym, co znaczyłoby skazać zamek na ruinę.

Odczuwają mniej i więcej powołani do sądzenia o sprawach Wawelu, że choć zamek ofiarowany został przez zbyt szczodrą w rozporządzaniu dobrem całej Polski komisję cesarzowi austryjackiemu, należy go ratować, aby nie zeszedł do jednej z prowincjonalnych tegoż rezydencji, że nie przestał on być dobrem polskiego ogółu. Komisja budżetowa Sejmu uchwaliła zażądać od wydziału krajowego, aby przedstawił wnioski, co do przeznaczenia całego wzgórza wawelskiego. Chodzi o sposób użycia wszystkich budynków, które na wzgórzu Wawelskim istnieją, o decyzję, które z nich mają być zburzone i na co przeznaczyć pozostałe.

Kierownictwo odnowienia zamku powierzone zostało p. Zygmuntowi Hendlowi, który przedstawia plany przed krajowy komitet, złożony z najwyższych dostojników. Do komitetu należą również historycy i badacze sztuki: Władysław Łoziński, Bołoz Antoniewicz, Marjan Sokołowski i Bolesław Ulanowski, oraz artyści: Jacek Malczewski i Wacław Szymanowski. Praca z dziedziny projektów przechodzi już do ich urzeczywistnienia, rozpoczynając od południowego skrzydła. Czas przeto najwyższy, ażeby zdanie swoje o budowie wypowiedziały jak najszersze sfery artystów, archeologów, a nawet społeczników i publicystów. Skoro budowa zostanie dokonaną, na dyskusję będzie już zapóźno, a jest ona tym potrzebniejszą, że nie wytworzył się projektowany komitet artystyczny, a publiczność pomimo wykonanych przez p. Hendla modelów, które za opłatą oglądać można, co do planów przebudowy jest informowana niedostatecznie. Dyskusję rozpoczął w Architekcie krakow-

skim [1]) gruntowną i dobrze obmyślaną pracą, redaktor tego pisma Jerzy Warchałowski. Ze względu na wielką doniosłość sprawy podaję niektóre jego argumenty.

W zasadzie odbudowy zamku na Wawelu postawiono konserwację—nie przebudowę, ani upiększenie. Zasada ta, pozornie prosta, niełatwą jest do przeprowadzenia, ponieważ całe szeregi epok, od Łokietka i Kazimierza Wielkiego aż do architektów Stanisława Augusta, wnosiły przerozmaite zmiany i przeróbki. Wprawdzie nauka odrzuca już dziś jednolitość i czystość stylu; zawsze jednak Wawel nie jest przeznaczony do dawania poglądowej nauki historji sztuki w Polsce, to też odnowienie opiera się głównie na wieku XVI, ponieważ wycisnął on najsilniejsze piętno na zamku i dochował się najlepiej w fasadach, krużgankach i szczegółach — aż do czasów naszych. Usunięte przeto zostaną szpetne obmurowania kolumn i łuków, a odsłoni się budowa prześliczna, lekka i śmiała, otrzymamy dziedziniec zamkowy, który postawić będzie można obok najpiękniejszych budowli włoskich.

W komitecie jednak przeważają historycy i technicy, a nie artyści; budowa odtworzoną ma być na podstawie fragmentów, które z natury swej wymagają uzupełnień. Chodzi o restytucję, której powinna przewodniczyć myśl artystyczna, a nie koniecznie antykwarska dokładność. Przeciw tej dokładności w szczegółach, a niedostatecznemu uwzględnieniu piękna, zwraca się krytyka p. Warchałowskiego. Krytyk ma niewątpliwą słuszność, o czym przekonamy się z następujących szczegółów. W rachunkach z początków XVI wieku zapisano kilkakrotnie wydatki na dachówki polewane: zielone, modre, żółte i białe. Powstał stąd pomysł zastąpienia dzisiejszego dachu, złożonego z jednobarwnych karpiówek czerwonych—przez kolorowy. W fabryce na Dębnikach pod Krakowem robią się tedy próby naśladowania barw glazury według znalezionych w rumowisku dachówek. Dachówkami tymi ułożonymi „we wzór... trochę historyczny, trochę fantazyjny, zabarwiony kolorem... z lekka autentycznym, a z lekka naśladujących patynę wieków", pokryto już część dachu. Ta historyczna pstrocizna jest nietylko kosztowną, ale i brzydką,—nie licuje z powagą całości. Podobnie groźnym jest projekt ogołocenia budynku z tynku, ażeby odkryć różne uwarstwowienia cegły, co w rezultacie dałoby pogląd na budowę narastających wieków, ale nie odpowiadałoby warunkom wrażenia, jakie czynić powinien gmach w stylu renesansowym. Motywem do zrzucenia tynku są badania d-ra Tomkowicza, według których zamek dopiero w XVII wieku został otynkowany.

P. Warchałowski słusznie protestuje przeciw niektórym inowacjom, które wprowadza projekt architekta Hendla, a które nawet dokładnością historyczną umotywować się nie dadzą. A zatym—przeciw wyrównaniu dachu w imię znalezionych na murach śladów, przeciw opatrzeniu go w nowe, wysokie, a rozrywające całość wrażenia, kominy. Kominy te zostały skomponowane na podstawie znalezionych fragmentów, a ponieważ były to tylko ułomki, posługiwać się musiał p. Hendel ogólnie renesansowymi wzorami.

Najważniejszą i najmniej potrzebną zmianą wydają mi się zakończenia wież Lubranki, Zygmunta III — narożnej i Zygmunta III przy katedrze. Dziś naśladują one korony książęce, harmonizują ze sobą, jakkolwiek nie są zupełnie jednakowe. Rekonstrukcja przyjmuje wieże smigłe z cienkimi iglicami, pragnie się zbliżyć do wielkiego miedziorytu Vischera i Merjana z przed r. 1617, który znajduje się w muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

P. Warchałowski obstaje przy pozostawieniu wieżom ich zakończeń. Protestuje także przeciw zbyt bogatemu zdobieniu podniebia krużganków rozetami, oraz przeciw takim restytucjom jak dopełnianie malatur na murach zewnętrznych, które zachowane i odpowiednio oczyszczone, same w sobie stanowią piękne fragmenty artystyczne.

Wszystko to są szczegóły, o które spierać się można. Najważniejszym jest, że przy różnorodności architektonicznych motywów, z różnych pochodzących epok, wezwać trzeba raczej intuicji artystycznej, niż zważać na archeologiczną dokładność. Niech epoka nasza konserwuje z pietyzmem, co piękne i szanowne, ale niech ze swej strony zaznaczy zarówno swe poglądy estetyczne, artystyczne natchnienia, jak i społeczne znaczenie, a więc — zużytkowanie arcydzieł przeszłości. Obowiązuje nas do tego nasza wysoka artystyczna kultura. Nie przywrócimy blasku dawnego królewskiego dworu, ale odtworzyć możemy gmachy, wiekiem i dorobkiem przeszłości poważne, w których koncentrować się będą nasze dzisiejsze kulturalne zdobycze.

D-r Z. D. G.

Z sali koncertowej.

Filharmonja zakończyła pierwszy abonament wieczorów kameralnych „wieczorem Chopinowskim". Wykonano Trio, (Melcer, Sebelik, Barcewicz), sonatę na fortepian i sonatę wiolonczelową.

P. Melcer grał już tyle razy, że nie potrzebujemy podnosić kwestji jego wielkiej gry. Zaznaczę tylko, że wykonanie „Marche Funèbre" — ujawniło nowe zdobycze techniczne mistrza. Mianowicie — pianissimo pierwszych akordów ujęte jest w jakiś dziwny timbr, że się otrzymuje iluzję powiewnych, z dali płynących westchnień harfy Eola. — Przejścia piano w forte i odwrotnie nie mają u p. Melcera ani cienia afektacji; całość ujmuje prostotą i bezwzględnym spokojem wirtuoza, panującego nad instrumentem i... nad sobą. Publiczność, bardzo liczna — urządziła owacyjne przyjęcie głównej atrakcji 6-go wieczoru kameralnego.

Jak mówiłem — wieczory kameralne cieszą się frekwencją słuchaczy ale — zbyt nierównomierną. Co prawda i wykonanie — szczególniej kwartetu smyczkowego—na ogół było poprawne, ale nie odznaczało się sumiennością w opracowaniu. Słyszeliśmy przeważnie szkice utworów, nie zaś *przeżycia* myśli autora.

Na koncercie na korzyść szkoły Kreczmara — usłyszeliśmy występ p. Opieńskiego jako dyrygienta i kompozytora. Na tle tematu „O księciu niezłomnym" — p. Opieński spróbował rzucić obraz z palety dźwięków—posiłkując się nadto deklamacją (p. Tarasiewicz), wyciętą ze scen ostatnich.

Jako całość — utwór p. Opieńskiego wywiera piękne wrażenie muzyczne. Kompozytor owładnął techniką spółczesną w zupełności. Prawda, strona melodyjna utworu jeszcze nie ma wyraźnej, że tak powiem,—linji, wyraźnego piętna jego duszy, ale w każdym razie niema reminiscencji i naleciałości... Szczególniej wyróżniła się majestatyczna melodja marszu pogrzebowego.

Słowem — „Młoda Polska" muzyczna — zaczyna rozwijać lot swój na deskach Filharmonji. Pragnęlibyśmy bardzo—aby jeszcze w tym sezonie, *wszyscy* młodzi przemówili do nas płodami swej Muzy, tak długo prześladowanej.

Antoni Miller.

[1]) Architekt staje się obecnie organem 11 skupiających się w Krakowie stowarzyszeń i korporacji artystycznych, może być tedy uważany za wyraz opinji powołanej do wydawania sądu w tej kwestji.

Z PRASY.

Mało jest u nas pism, któreby posiadały już swoją poważną historję i tradycję, któreby przeżyły parę dziesiątków lat, przez cały czas swego istnienia pozostając na raz zajętej placówce i nie zmieniając swego stanowiska społecznego i swoich zasad naczelnych. Jeżeli jakieś pismo przeżyło dwa pokolenia, to sam już fakt tak długotrwałego istnienia wskazuje, że opierało się ono na konkretnych potrzebach danych sfer społecznych, że było wyrazicielem realnych interesów, szczerych pragnień i ideologji danego odłamu społeczeństwa. Do rzędu takich pism należał jedyny postępowy polski tygodnik poświęcony sprawom żydowskim, jedyny organ polskości żydów, (który obecnie zawieszony zostaje na pewien czas), *Izraelita*, prowadzony od 1866-go roku pod hasłem asymilacji t. j. zwalczania tych odrębności żydowskich, które stanowią przeszkodę do uobywatelnienia i ucywilizowania mas żydowskich. A ponieważ odrębność żydowskich mas opiera się przeważnie na przeżytkach religijno-obyczajowych, polega na pozostawaniu w ciągu wielu wieków w ciasnym kole swoich interesów i życiu w ciężkiej mgle przesądów, na odrębności w stroju i mowie t. j. skażonej niemczyźnie zwanej żargonem, ponieważ odrębność ta nie polega na pewnych podstawach swoistej kultury narodowej; ponieważ, wreszcie, całe odrębne życie mas żydowskich nacechowane jest pozostałościami z przed setek i tysięcy lat, — przeto każda praca prowadzona pod hasłem asymilacji, czyli przystosowania życia żydów do wymagań spółczesnej cywilizacji i zniesienia wszystkiego co nie licuje z duchem czasu, ma wysoce kulturalne znaczenie tak dla żydów, jak i dla narodu pośród którego przebywają. W kraju naszym, gdzie żydzi stanowią 15% całej ludności, praca ta ma szczególnie wielkie znaczenie.

Hasła asymilacji nabrały u nas po raz pierwszy pewnej siły w latach sześćdziesiątych, wkrótce po zagaśnięciu ruchu powstaniowego 1863 roku. W tym okresie zjawiła się pierwsza gieneracja żydów-polaków, dążących do usunięcia w imię dobra ojczyzny, wszystkich wytworzonych przez wieki przegród, dzielących społeczeństwo żydowskie od ogółu ludności. Pierwszym organem tych żydów był *Izraelita*. Ostatni numer tego tygodnika poświęcony jest w całości zdaniu sprawy ze swej czterdziestotrzyletniej działalności; aczkolwiek nie daje on nam pełnego obrazu pracy asymilacyjnej, ani też jej historji, to jednak widzimy dość dokładnie rozległość pola tej pracy i jej znaczenie dla społeczeństwa polskiego: zbliżenie żydów do ogółu polskiego drogą uzyskania dla nich praw obywatelskich i uczynienia ich godnymi tych praw; szerzenie oświaty przez zniesienie t. zw. chederów i zastąpienie ich polskimi, świeckimi szkołami; jak najdalej idące reformy w judaizmie wstrzymującym cały umysłowy i kulturalny rozwój żydów; nauczanie polskiego języka w celu zbliżenia żydów do kultury polskiej; zniesienie wszystkich zewnętrznych oznak odrębności żydowskiej, które stanowią poważną zawadę na drodze wzajemnego zbliżenia się; walka z rabinizmem i t. zw. cadykami (cudotwórcami) haniebnie wyzyskującymi ciemne i zabobonne masy; obrona żydów przed niesłusznymi napaściami i zarzutami antysemitów, a jednocześnie, wykazywanie im ich wad istotnych; walka z nacjonalizmem żydowskim, z dążeniami separatystycznymi, a szczególnie z obłędną ideją „palestynofilstwa"; zwalczanie wszelkich dążności antiobywatelskich.

Oto jest pole pracy asymilacyjnej, pole, wyznajmy to szczerze, wciąż jeszcze otwarte i pod wieloma względami leżące odłogiem. Poza propagandą haseł i ciągłym tłumaczeniem konieczności prowadzenia takiej pracy, — mało, niezmiernie mało uczyniono na tej drodze. *Izraelita* przyczynił się po części do wykazania doniosłości zadań, jakie ma do spełnienia asymilacja, lecz dzisiejsi asymilatorzy powinni już rozpocząć konkretną pracę wcielania tych zasad i haseł w życie. Miejmy nadzieję, że tacy się znajdą!

J. W.

Tydzień polityczny.

Ubiegły tydzień przyniósł nowe zjawisko na terenie politycznym — fakt pierwszorzędnej wagi — rozłam rządu i prawicy.

Gabinet p. Stołypina — można rzec — wypielęgnował sobie, ku łatwiejszemu uśmierzeniu rewolucji, związek nar. ros., który rzeczywiście niemałą przysługę oddał swym protektorom na tym polu, czyniąc straszny zamęt idejowy wśród ciemnych mas—zarówno słowem jak czynem. Związek, jako siła brutalna, rekrutujący się z pośród samego narodu, rozsiada się po całym państwie we wszystkich większych ogniskach życia, popierany przez fanatyczne duchowieństwo; wziąwszy sobie za cel przywrócenie dawnego ustroju, szedł i idzie konsekwentnie do celu i rząd, nie chcąc tracić tak cennego sojusznika, musiał dawać posłuch jego żądaniom, przynosząc mu w ofierze nietylko zwykłych obywateli — ale nawet ministrów. Na zwrot jednak ku dawnym podstawom absolutyzmu, jakkolwiek w swoim czasie mówiono o tym wiele, nie zdecydowano się i rząd wybrał drogę pośrednią: zwołał III Dumę na zasadzie nowych praw wyborczych, dając przewagę klasom posiadającym i agrarjuszom.

Różność interesów skrajnej prawicy i październikowców postawiła rząd w przykrym położeniu wobec związku narodu rosyjskiego, który domaga się za oddanie przysługi — przyjaźni całkowitej, a w żadnym razie nie chce się zgodzić na kompromitację wobec wsi rosyjskiej, gdzie agitatorzy związku przyrzekli, że wszystko się stanie według jej żądań.

Uchwalone obecnie prawo agrarne, przyjęte powszechnie przez ludność wiejską z największym rozgoryczeniem, jako nowe nieszczęście, zmusiło prawicę do zwrotu, jasna rzecz — nieszczerego, i wystąpienia przeciwko uchwalanemu prawu, a tym samym, przeciwko rządowi i październikowcom.

Sprawa jest zasadnicza i zbyt ważna, by rozłam na tym gruncie nosił cechy chwilowego nieporozumienia. Wystąpienie prawicy nie może być przyjęte za szczere — trzeba uważać je za jedynie dyplomatyczny zwrot utrzymania wpływów na wsi, gdzie związek zapuścił niemałe korzenie wśród ciemnego ludu.

Nietylko jednak na gruncie polityki wewnętrznej nastąpił rozłam między prawicą a rządem. Mowa Izwolskiego, zwracana jakoby przeciwko Niemcom, przyjętą została przez prawicę sykaniem. Tu już niezadowolenie prawicy wyraziło się w formie, której dawniej prawica nigdy nie odważyłaby się stosować, nietylko względem ministrów, ale nawet względem wicedyrektorów departamentów. Jeżeli zachowanie się prawicy jest wynikiem tego przeświadczenia, że nic do stracenia już niema, wobec zupełnego rozdźwięku idejologji prawicy i rządu — to objaw ten byłby bardzo pożądany, jednak, o ile w stanowisko prawicy można wierzyć, że będzie zawsze jednakie — o tyle rząd niejednoktotnie jeszcze, kosztem „polityki słowiańskiej" (czytaj Rosjanie i Polacy) postara się pojednać bądź co bądź z wpływowym i silnym sprzymierzeńcem.

F. Honowski.

KRONIKA.

— W dniu 29 grudnia w sali Stowarzyszenia Techników odbyło się pierwsze zgromadzenie organizacyjne „krematorjum".

— Partja liberalna w Belgji wniosła do izby deputowanych projekt prawa o ustanowieniu emerytury państwowej, według którego każdy robotnik po skończeniu lat 65 lub przepracowaniu lat 35, lub też straceniu zdolności zarobkowania, otrzymywałby 360 fr. rocznie emerytury. Projekt ma widoki powodzenia.

— W dniu 29 grudnia r. b. Włochy południowe nawiedziło ogromne trzęsienie ziemi. Miasta Messina i Reggio uległy zupełnemu zniszczeniu. Liczba ofiar w ludziach dochodzi do 200 tysięcy.

— W dniu 24 grudnia na placu de l'Etoile prezydent republiki francuskiej Falliéres został napadnięty i potłuczony przez b. kelnera Jana Baptystę Mathisa; Mathis był członkiem organizacji rojalistyczno-nacjonalistycznych i żółtego syndykatu, którego kierownik Biétry jest uważany za moralnego sprawcę zamachu.

— Według wiadomości urzędowych, w danej chwili 14,000 osób pracuje w ciężkich robotach (katorga). Przyrost miesięczny wynosi 250 do 300 osób.

— Ministerjum oświaty odmówiło właścicielom szkół prywatnych z prawami rządowymi, żądającym mundurów dla wychowańców swoich zakładów, motywując odmowę tym, iż istnienie tych szkół jest nietrwałe.

— Przy instytucie głuchoniemych i ociemniałych ustanowiono posady lekarzy chorób usznych i ocznych, bezpłatne i bez praw służby rządowej.

— Ambasadorowie akredytowani przy Watykanie zostali powiadomieni, iż, z powodu trwającego złego stanu zdrowia Papieża, przyjęcie noworoczne w d. 1 stycznia r. b. zostaje odwołane.

— Słynny dowódca kozaków perskich pułkownik Lachow wystąpił z wojska rosyjskiego.

— W d. 22 grudnia w ministerjum finansów, pod przewodnictwem wiceministra Nowickiego, odbyła się specjalna narada w celu opracowania środków dla obniżenia ceny cukru.

— P. Stanisław Libicki wystąpił ze stronnictwa narodowo-demokratycznego, powody dotychczas niewyjaśnione.

— W d. 21 z. m. otwarto pierwszy uniwersytet egipski w Kairze.

— Według wiadomości dzienników petersburskich, wszyscy gubernatorowie otrzymali okólnik polecający im niezwłocznie ściągnąć wszystkie zaległości podatkowe.

— Z powodu częstych ucieczek z miejsc zesłania, Ministerjum spraw wewnętrznych opracowało wniosek ustawodawczy zabraniający zamiany robót ciężkich na osiedlenie.

— Ministerjum oświaty postanowiło włączyć do programu szkół średnich, naukę etyki od przyszłego roku szkolnego.

— Ministerjum oświaty orzekło, iż Polakom, pod lanym zagranicznym, nie należy pozwalać na zdawanie egzaminu na nauczycieli domowych języka polskiego.

— Na skutek żądania kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, Rada ministrów na zasadzie Ukazu Najwyższego z dnia 14 października 1905 r. zniosła okólnik b. ministra oświaty z r. 1906, pozwalający na wykłady w języku polskim w szkołach żydowskich.

— Izba belgijska przyznała kobietom czynne i bierne prawo wyborcze w robotniczych sądach rozjemczych.

— W kwestji równouprawnienia Żydów wiceminister spraw wewnętrznych Krzyżanowskij oświadczył, iż równouprawnienie pociągnęłoby za sobą zagarnięcie przez Żydów wszystkich zawodów wyzwolonych, wobec czego rząd nie może wnosić żadnych projektów praw w tym kierunku, ale pozostawia tę sprawę inicjatywie Dumy. Prawica dumska podobno zgadza się na zniesienie granicy osiedlenia Żydów, o ile by ich nie dopuszczano do służby na urzędach państwowych i do pełnienia służby wojskowej.

— Izba lordów przyjęła z nieznacznymi poprawkami prawo o 8-io-godzinnym dniu roboczym dla górników.

OFIARY.

Na rzecz Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie od pracowników zakładów metalurgicznych i górniczych T-wa Nikopol Marjupol:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rk. 3, St. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, St. Prauss rb. 3, St. Hegner rb. 2, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 2, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, Z. De O'Byrn kop. 50, J. Tarkowski rb. 1 kop. 50, A. Misiewski kop. 50, J. Szaniawski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, C. Padarewski kop. 50, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1.

Na wpisy szkolne: P. Pisarzewski z Łęczycy rb. 1.

Na szkołę przy Tow. Kul. Pol.: Adam Roszkowski z Warszawy rb. 1.

Na dom w Zabłociu: Mańkowski z Bijska rb. 3.

Do numeru niniejszego dołączamy prospekt „SFINKSA".

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.